



Ananda Devi

Niezbędny język

Las, ziemia, piasek, woda. Szybko powiedziane, w kilku słowach, podróż.

Przestrzeń, pustka, ciemności. Niemożliwe. Szybko powiedziane.

W kilku słowach. Wystarczy kilka sekund. A potem każą mu wyjaśnić. Rozwinąć.

Wywołać jakby chodziło o fotografię. Film, który przepuszcza się przez kąpiele w substancjach chemicznych, w czerwonym świetle, aby wydobyć z niego krwawe obrazy.

Opowiedzieć? Nie, to niemożliwe.

Oto, co próbuje wytłumaczyć tym, którzy zadają mu pytania i nie słuchają odpowiedzi.

Jednak zdania się mieszają. Bez czasowników. Bez przymiotników. Coś szarego, posępnego. Słowa bez mocy, bezkrwiste. Bezkształtne, zniekształcone. Martwe od urodzenia.

Przeskakuje od myśli do myśli, między nimi nie ma związku, brak logiki. Jest poza logiką.

Opowiadać, to zamieniać cierpienie w opowieść. To stać się podmiotem jakiejś historii, podczas gdy nie jest się jej podmiotem, lecz przedmiotem. Czymś jeszcze mniej istotnym, ponieważ przedmioty mają jakąś wartość. Ludzki towar, który musi płacić, aby żyć, nie ma wartości. Jest zastępowalny.

Nie jesteśmy zastępowalni, myśli. Jednakże pamięć zadaje temu kłam, obsesyjnie przywołując obrazy zagubionych w drodze, którzy do niczego już nie posłużą. Być może w rzeczywistości wszyscy jesteśmy zastępowalni.

Pomimo wszystko usiłuje coś powiedzieć. Tego od niego oczekują. Musi opowiedzieć swoje życie. Usprawiedliwić swoje istnienie.

Widzi pająka wspinającego się po ścianie. – Czy on musi uzasadniać swoje istnienie? – zastanawia się. Czy pająk jest wart więcej niż ja? Pajęczyna utkana z tego, co niemożliwe. Jak my wszyscy.

- Na pewno ktoś zrozumie - myśli, ale po nieruchomych spojrzeniach, które nie przecinają się z jego wzrokiem, wie, że tak jednak nie jest.

Tłumaczka źle mówi w jego języku. Bełkocze, tłumaczy na opak, myli daty, miejsca, odcinki czasu, o których on mówi. Już zrozumiał, że ona sobie nie radzi. Czy ośmieli się skorygować to, co ona mówi? Nie, gdyż to bez wątpienia oznaczałoby, że sam siebie bezapelacyjnie skaże. Może tłumaczka stara się najlepiej jak potrafi?

W końcu nie mają nikogo innego.

Próbuje więc powtarzać, najprościej, najspokojniej jak się da, powiedzieć raz jeszcze to samo. Wie, że nikt go nie słucha, ponieważ nie zwraca się uwagi na jego powtórzenia. Mimo to, nie potrafi się powstrzymać. Być zrozumianym - oto jego najbardziej naglące życzenie w tym dziwnym miejscu, w którym się znajduje. Rozwiązać tajemnicę twarzy, spojrzeń i ekspresji. Ale niczego nie rozpoznaje.

Przesłuchanie trwa już osiem godzin. Czas się zatrzymał. Na zewnątrz drwi z niego jesienny kapuśniaczek. Był przygotowany na chłód, nie na tę wilgotną kapaninę, ciężką szarość, straszną nieobecność światła.

Nie chodzi jednak o zimno, ani nawet o jesienny deszcz. Chodzi o poczucie pustki. Siedząc naprzeciwko tych nie patrzących na niego spojrzeń, ma wrażenie, że nie istnieje. Gdzie indziej, w mieście, przeciwnie - ma wrażenie, że jest zbyt widoczny. Ci, którzy patrzą mu w twarz, są najbardziej wrodzy. Inni, pomimo swojej sympatii, nie mogą znieść pytania, jakie niesie ze sobą ta obecność: przybywający, ci, którym udało się przeżyć.

On należy do tych duchów: ni to żywy, ni to martwy. Myśląc o drodze, którą przebył, żeby tu dotrzeć, pojmuję, że jest w stanie zawieszenia. Że powinien być umrzeć, jak tyłu innych, lecz przypadek czy przeznaczenie wskazało na jego sąsiadów, nie na niego. Jakby grając w dziecianną grę, żeby wiedzieć, czy zostanie wybrany. A przecież wszyscy mogliby być wybrani, wszyscy powinni być wybrani. Zatem ci, co przeżyli, są potencjalnymi umarłymi, ich przeżycie nie ma nic wspólnego z ich zdolnościami, inteligencją, walecznością. To po prostu kwestia trafu.

Zatem sposób, w jaki się na nich tutaj patrzy, jest być może odpowiedni. Zostali ocaleni, gdyż palec wskazał na nich jako na tymczasowych szczęściarzy, lecz wcześniej czy później w końcu wybierze także ich. To tylko kwestia czasu. Ich godzina jeszcze nie wybiła.

Gdy wyruszali, było ich dwudziestu. Dotarło dwóch.

Wylicza różne sposoby, w jakie można umrzeć w czasie podróży: pod ciosami przemytników, ponieważ nie ma się wystarczająco dużo pieniędzy. Z pragnienia, gdy droga przez pustynie okazuje się dłuższa niż się spodziewano, a przewodnicy znikają, gdy tylko się ich potrzebuje, jak duchy, które widzi się kątem oka, nigdy twarzą w twarz. Bezkarne wykorzystywanie, gdy w kraju, przez który przejeżdżacie, zmusza się was do niewolniczej pracy, wydając handlarzom, przedsiębiorcom budowlanym potrzebującym bezpłatnej siły roboczej, zakładom oczyszczania potrzebującym bezimiennych śmieciarzy. Od utonięcia, gdy chybotała łódź kołysze się zbyt mocno, a zawodzą wasze dłonie spocone od strachu. I z rozpacz, gdy wreszcie przybyliście i zasnuwane trenem niebo wisi nad wami, jak dłoń próbująca was wcisnąć w błoto.

Potem jest jeszcze ostatnia śmierć, ze wstydu. Najbardziej definitywna, bo nie możecie jej przewidzieć, zanim się z nią nie skonfrontujecie.

Którą można dojrzyć we wszystkich spojrzeniach śmieci pozostawionych swojemu losowi na ulicy, na dworcach, pod mostami, o ile komuś zachciałoby się spojrzeć im w oczy, a nie przyspieszało się kroku, aby uniknąć ryzyka, że pod stosem zaskorupiałych z brudu koców i samotności dojrzy się ukryte życie.

Wstyd, ostatnia śmierć.

Ona naprawdę unicestwia to, czym się było przedtem. W tym „po”, w którym lądują, wszystko jest wymazane. Czysta karta.

Gdy wreszcie przybył na tę tak wyczekiwaną ziemię, otrzymał krótkie instrukcje: *tu ma pan adres, wskaż panu miejsce do spania i dostanie pan powitalny pakiet.*

Rzecz jasna adres nic mu nie mówił. Z zagubionym spojrzeniem, zapytał swojego rozmówcę, który odparł: *Jeśli jest się samochodem, trzeba wjechać na autostradę, zjazd 12. W pana przypadku lepiej pojechać autobusem: tu ma pan bilet.*

Nie wiedział, gdzie wsiąść do autobusu ani do którego. Wolał więc pójść autostradą. Pieszko. Samochody przejeżdżały obok niego w szalonym warkocie. Niektóry kierowcy trąbili na niego, ale nikt się nie zatrzymał. Poszedł w mniej więcej właściwym kierunku. Bolały go nogi. Jego już wcześniej podziurawione trepy właśnie wydawały ostatnie tchnienie. Bolały go kości. Było mu zimno. Samochody. Spojrzenia. Asfalt. Nieznane. Nowa podróż.

Zaczął padać deszcz. Nie ulewa, lecz mżawka, drobna i uporczywa.

Po kilku minutach, był przemoczony, skostniały z zimna. Szedł dalej.

Po kolejnych kilku minutach, nie mógł już iść dalej. Usiadł na skraju autostrady. Zostanę tutaj, aż ktoś się zatrzyma, pomyślał. Nie wiedział, że na autostradzie nie wolno się zatrzymywać.

Miał dziwne poczucie, że jest duchem nawiedzającym miejsca, o których przedtem marzył. Dotarło do niego, że to nie jego miejsce. Jak wszystkie miejsca emigracji.

Zaczął nasłuchiwać odgłosów. Z nadejściem wieczora zmniejszyła się liczba samochodów. Słyszał deszcz uderzający o asfalt, kilka odosobnionych ptaków wczepionych w ciepłe gniazdo, żaby na nieodległych mokradłach. Tchnienie wiatru tuż przy powierzchni jezdni. Muzyka świata, którą zawsze słyszał w duchu, w biciu serca, w swoim ciele.

Jego palce same zaczęły się poruszać, jakby dotykały klawiszy.

Gra na pianinie. Nie, *grał*. Kiedyś, w innym życiu. Ale nikt o tym nie wie. Wszyscy mają to w nosie. To talent, który nie jest w żaden sposób użyteczny dla tych, którzy – jak on – *przyjeżdżają*.

W jego mieście to też nie było czymś zwyczajnym. Jego talent przypadkiem odkryła cudzoziemska nauczycielka. Usilnie namawiała jego rodziców, aż pozwolili mu pobierać lekcje gry. Ten czas spędzony przy pianinie... Odczuwał go jak drzwi do innego świata, który nie miał nic wspólnego z codziennością, jak nic innego wyrażającego jego myśli i uczucia, nie tylko zresztą jego samego, lecz również jego rodziny, jego otoczenia, tkając tapiserię dni, jakby, niezależnie od nich samych, muzyka ujawniała serca ludzi w tym samym czasie, gdy próbowali je ukryć. Pianino towarzyszyło jego dzieciństwu, wiekowi młodzieńczemu i marzeniom. Gdy siadał przed klawiaturą, muzyka w całkiem naturalny sposób spływała z jego wnętrza na palce. Naturalny talent, mówiła profesorka, dumna z tego, że go odkryła, obiecując mu piękną przyszłość.

Tutaj nikt nie wyobraża sobie, że przybywający mogą być artystami. Przecież przyjeżdżają z prymitywnych zakątków świata, gdzie sztuka nie przedstawia sobą żadnej wartości. On zna innych muzyków, plastyków, pisarzy. Kiedyś żył w inny sposób. Aż nadeszła milicja i zgarnęła osobników płci męskiej od dziesiątego do sześćdziesiątego roku życia, żeby walczyli na ich wojnie. A także płci żeńskiej od dziesiątego do sześćdziesiątego roku życia, żeby zaspokajały ich potrzeby. I rzeczywiście potem sztuka przestała cokolwiek znaczyć.

– Czyżby więc ci tutaj mieli rację? – zastanawia się. A przecież wyobrażał sobie, że gdy już tu dotrze, zapytają go, jakie są jego pasje, co porabiał w przeszłości, a on, zamiast odpowiadać, zagrałby im koncert nr 2 Rachmaninowa, ten który najlepiej potrafił wyrazić trwogę wobec niebezpieczeństwa, nadzieję, która dyskretnie przepływa pomiędzy dźwiękami pianina, rozkołysane fale wierzące dziurę w brzuchu, cienki promyk światła stawiający opór ciemnościom, gdy ciała zanurzają się w wodzie, gdy usta otwierają się, aby złapać wiatr, gdy serce ściska się, bo wszystko zostawiło się za sobą, i wreszcie gdy pomiędzy świtem a nocą odgaduje się blady promyk brzegu i gdy opanowuje cię nadzieja, ta straszliwa kochanka.

I wreszcie, po dotarciu na płyciznę, oddech, potem dwa. Jeden krok, potem dwa. Z tyłu cienie tych, którzy nie dożyli do końca podróży, długi szereg wygasłych oczu.

I ten instynkt przetrwania sprawiający, że mimo wszystko człowiek nie odpuszcza, nie chce umrzeć.

Kroki tych, co przeżyli, na piasku: to finał koncertu numer 2.

Rachmaninow umiał opowiedzieć tę podróż, której on nie potrafił opisać.

Być może stąd ten ciężar w trzewiach przybywających: że przeżyli, podczas gdy tyłu innych zginęło. To, że się przeżyło, wywołuje poczucie winy. Jakby się zjadło ciała innych, aby osiągnąć swój cel.

Rozumie, że nikt nie może, nie chce stawić czoła temu stwierdzeniu. Lepiej przekonać samego siebie, że wszyscy ci ludzie umierają, bo chcieli opuścić swoje naturalne środowisko, opuścić miejsca, które do nich należą, opanować te, które do nich nie należą. Że porzucili swoje źródło, chociaż powinni w nim trwać jak zwierzęta w klatce, pomimo że świat wokół nich się rozpadał.

Tym oto stwierdzeniem kończyłby się koncert, którego ostatnie nuty zagrałby prawie bezgłośnie.

Zdaje sobie sprawę, że znów zaczął iść, jak lunatyk, powłócząc nogami i że jego stopy krwawią. Przykleiły się do butów. Zdejmie je razem ze skórą.

Tak jest z tymi wiecznymi pielgrzymami, którzy nie odnajdują miejsca przeznaczenia.

Tymczasem jednak jego palce nie przestają grać. Na powietrzu, na czasie, na wietrze, na życiu.

Gdy nadeszła milicja, postanowił uciec. Wiedział, że gdyby kiedykolwiek jego dłonie posłużyły do zabijania, nie byłyby już

w stanie dotknąć klawiszy. Dlatego zaryzykował tę podróż, którą ryzykują wszyscy. Podróż zgubną, morderczą, prawdziwą gehennę. Podróż, w której umierają wszyscy, ale w którą wierzą wszyscy, ponieważ są niespełna rozumu.

Jego palce nigdy nie odnalazły klawiatury, chociaż nigdy nie przestały wygrywać melodii, które słyszał w swojej głowie.

Krok za krokiem, jak hen daleko na pustyni, jak hen daleko na drogach wiodących ku nieznanym krajom, w których spojrzenia, już tam, były wrogie. I padali jeden za drugim. Drogi wychodźstwa nie przebaczą.

W końcu zatrzymuje się samochód policyjny. Żandarmi pytają go, dokąd idzie. Wyciąga z kieszeni kartkę z adresem schroniska dla imigrantów. Jest pomięta i wilgotna, ale czytelna. Patrzają na nią z osłupieniem. Jeszcze piętnaście kilometrów, mówią mu. Rozumie w połowie. Wzrusza ramionami, zmęczony. Jeden kilometr czy piętnaście, co za różnica? Nie może przestać iść, bo jak przestanie, zatrzyma się już na dobre.

Mówią mu, żeby wsiadł do samochodu. W środku ukradkiem zdejmuje buty. Natychmiast pojazd wypełnia straszliwy smród. Jeden z żandarmów się odwraca, patrzy na jego nogi, krzywi się. On i jego kolega natrzęsają się. Z powrotem zakładają buty. Krew jest lepka, na podeszwie mlaska jak pijawka.

Krajobraz przewijający się za oknami wydaje mu się zarazem dziwny i uspokajający. Widzi drzewa o obciętych gałęziach jak podniesione w geście rozpaczki kikuty. Wyglądają smutno. Żandarmi znowu się śmieją. Nie potrafią się powstrzymać aż dojadą na miejsce. Opuścili szyby, żeby lepiej dać do zrozumienia, dlaczego się śmieją. Wiatr jest porywisty i chwytą go za gardło. Sprawia, że łzawią mu oczy. Nie tylko od wiatru.

Gdy dojeżdżają na miejsce, wysadzają go przed dużym starym domem, w głębi cienistego ogrodu. Czuje się lepiej, miejsce jest ładne, przyjemne, emanuje spokojem. Liście zataczają się jak pijane od nagłej bryzy. Czuje się podle, że zwątpił w gościnność tych ludzi. Przywieźli go tu samochodem i dali mu piękne miejsce do życia. Zaskakuje go, że się uśmiecha.

Młoda kobieta na recepcji jest życzliwa, miła. Mówi do niego po angielsku, wiedząc, że nie zna dobrze francuskiego. Wyjaśnia, że będzie zakwaterowany z innymi, którzy złożyli wniosek o azyl, że dostanie kieszonkowe, że pomogą mu w załatwianiu formalności, wypełnianiu dokumentów. Zobacz pan, szybko się pan przyzwyczai, mówi kobieta. Teraz on się uśmiecha. Chciałbym się umyć, mówi. Oczywiście! – odpowiada kobieta. Wszystko, czego panu potrzeba, jest na dole.

Na dole? Są na parterze. On nie rozumie, o co chodzi. Ona daje mu znak, żeby za nią poszedł. Wychodzą z ładnego domu i kierują się na koniec ogrodu.

Im dalej idą, tym bardziej jego krok staje się cięższy. Wie, że wszystko zaraz się załamie. Miłe wrażenie sprzed chwili rozplywa się. Przez drzewa nie przebija się żadne światło. Bez światła, ponura pogoda i jego trudna sytuacja kładą się znowu ciężarem na jego ramionach, na głowie.

Rzuca spojrzenie do tyłu, jakby żegnał się z nadzieją.

Przed nim wznosi się mała betonowa struktura, szara i surowa. Wydaje się zbyt mała, żeby można w niej było znaleźć schronienie. W czymś w rodzaju budki wartowniczej, trzyma straż jakiś znudzony człowiek. On nie rozumie, do czego służy ta struktura. Żelazne drzwi, które otwiera młoda kobieta, są ciężkie, grube. Betonowe schody oświetlone bladymi neonówkami prowadzą do wnętrza ziemi.

Nie odważa się postawić stopy na pierwszym stopniu. Obawia się, że nie będzie drogi powrotu. Myśli o Dancie, przychodzi mu do głowy, że rzeczywiście musi porzucić wszelką nadzieję. Zna na pamięć te wersy:

*„Przeze mnie droga w gród łez niezliczonych.
Przeze mnie droga w boleść wiekiustą,
Przeze mnie droga w naród zatraconych.
Mój budowniczy był wzniosłym artystą,
Sprawiedliwości dna grunt mój dosięga.
Mnie zbudowała wszechmocna potęga,
Mądrość najwyższa, miłość samodzielna.
Przede mną rzeczy nie było stworzonych
Prócz nieśmiertelnych — i jam nieśmiertelna!
Wchodzący we mnie, zostawcie nadzieję!”
W tych słowach napis na bramie czernieje.
„Dla mnie, o mistrzu, straszna treść jej godła”.
Mistrz mówił, jakby świadomy tej strony:
„Tutaj lekliwość wszelka, słabość podła,
Niech zamrą w tobie, tu zbyć je przystoi.
Przyszliśmy w miejsce, gdzie oglądać mamy
Lud nędzny, światła prawdy pozbawiony.”¹*

Młoda kobieta dostrzega jego wahanie, szarą bladość jego spojrzenia. Patrzy na niego z pewnym niepokojem. Niech się pan nie przejmuj, mówi. Z początku to wygląda przerażająco, ale przyzwyczai się pan.

1 Dante Alighieri, *Boska Komedia*, „Pieńko, III”. Tłumaczył Julian Korsak.

On patrzy na te schody, które prowadzą pod ziemię i pojmuje. Jest już martwy. Nie zdawał sobie z tego sprawy. Teraz wejdzie do swojego grobowca, pomiędzy *lud nędzny, światła prawdy pozabawiony*. Wszystko, co przydarzyło mu się do tej pory, było tylko preludium. Musi porzucić wszelką nadzieję.

Pochyla głowę, akceptując swój los. I schodzi.

Powoli dochodzą do niego dźwięki. Głosy, płacze, języki. *Dla nich nadziei nie ma drugiej śmierci*, myśli.

W przeciwnym kierunku tego miasteczka nad brzegami Jeziora Lemańskiego, leży skulony osad. Pomiędzy nagimi ścianami ze zbrojonego betonu, głęboko pod ziemią, na betonowej podłodze stoją piętrowe łóżka. Śpią po trzydziestu w każdej sali, w bladym świetle neonówek. Odór jest nie do zniesienia: męskie ciała szybko i źle obmyte, stopy zainfekowane grzybicą, zastarzały pot, nocne pierdnięcia zastygłe w stojącym powietrzu, odpadki piętrowe się w workach na śmieci. Nigdy nie siedział w więzieniu, ale pojmuje, że tutaj jest więzienie gorsze niż to, w których zamyka się przestępców.

Młoda kobieta czerwieni się pod jego spojrzeniem. Z półki bierze pakunek zawierający ręcznik, kostkę mydła i kilka innych artykułów higienicznych i podaje mu je.

Ma ochotę powiedzieć jej, żeby sobie zabrała ten pakiet, bo nie ma co z nim zrobić, ale czuje wobec niej prawie litość. Bierze go i zagłębia się w obiecane piekło.

Znowu przemawia do niego Dante:

*Wstąpiłem w progi tajemniczej bramy.
Stamtąd wzdychania, żale i okrzyki
Brzmiały pod niebem bez gwiazd osamiałem;
Słyszac jęk ludzki, zrazu zapłakałem.
Okropne mowy, zmieszane języki
Bólu i gniewu, klask dłoń w dłonie dziki,
Głosy na przemian ostre, to chrypiące
Tworzyły hałas starciem się wzajemnym,
Który złamany na wrzasków tysiące
Wił się w powietrzu nieśmiertelnie ciemnym,
Jak tuman piasku, gdy nim wicher dysze.
Ja, mając zgrozę opasaną głowę,
Mówiłem: „Mistrzu, ach, co ja tu słyszę?
Co za lud cierpi męki tak surowe?”
A Mistrz: „Los nędzny widzisz tych, co cały
Żywot przeżyli bez hańby i chwały.*

W czasie następnych dni, pomiędzy tymi smutnymi duszami, co żywot przeżyły bez hańby i chwały, pogodził się z tym, że jest u kresu życia. Że nic nie jest ważne. Że ta podziemna egzystencja w schronie przeciwtomowym ofiarowanym jak ochłapy, jak jałmużna tym, którzy nie mają niczego, a stali się zwierzętami jaskiniowymi wypuszczanymi tylko o określonych porach, żeby pooddychać powietrzem na zewnątrz i zaraz potem zmuszanymi do powrotu, do oddania swoich znaków tożsamości i przynależności do rodzaju ludzkiego. Tylko na taką wegetację zasługują wszak tacy jak on, którzy podjęli próbę uwolnienia się od swojego przeznaczenia. Nie zasługujemy na dom, ogród, powietrze, którym da się oddychać, przestrzeń życiową, myśli. Dają nam to, na co zasłużyliśmy – podziemne więzienie, w którym spojrzenia stają się szalone, tworzą się obozy ze względu na pochodzenie etniczne, gdzie nie sposób nam uwierzyć w nasze własne człowieczeństwo.

Porzuciliśmy wszelką nadzieję.

Oto, co próbuje powiedzieć tym, którzy są teraz naprzeciw niego.

Rozumiem, mówi. Rozumiem, że nie mam prawa do waszej ziemi, do waszych dóbr.

Rozumiem, że jestem intruzem i osobnikiem podejrzanym.

Rozumiem, że nie istnieję. Jestem znikąd. Jestem nikiem. Nie powinienem istnieć.

To miejsce uświadamia mi, że nie jestem mile widziany. Na każdy atom powietrza trzeba sobie zasłużyć. Tak, do tej pory nie zapracowałem na ani jeden z tych atomów powietrza. Chciałbym, jestem gotowy, lecz dopóki tego nie zrobię, wiem, że nie mam prawa niczego żądać.

Pytacie mi się, co chciałbym robić?

Powiedziałem wam: chciałbym uprawiać muzykę.

To nie jest pożyteczne? Może. Ale widzicie, sędzę, że Rachmaninowowi udało się powiedzieć to, co przeżyłem w czasie mojej podróży tutaj. Tylko zasiadając do pianina mógłbym wam to również powiedzieć. Jak fala bólu wyłania się z mroku i nabrzmiwa. Jak horyzont oddala się i znika. Jak otchłań jest otwartym pyskiem czekającym, aby was połknąć. Jak schody prowadzące pod ziemię paraliżują was i przerażają.

Nie dysponuję niezbędnym językiem, aby wam to wszystko przekazać. Moim niezbędnym językiem jest muzyka. Jeśli zechcecie mnie posłuchać, zrozumiecie. To, jak się uratowałem, moją

ucieczkę. Jak jesteśmy w stanie przekroczyć granice naszej wytrzymałości. Jak matki godzą się na to, aby wziąć swoje dzieci na ręce i wejść na łódki, które kołyszą się w takt zapowiedzi utonięcia. Ponieważ u samego kresu czeka na nie ta smużka światła.

Oto, co nam mówi ta muzyka.

Mówicie mi, że Rachmaninow, że Dante są przedstawicielami waszej kultury, a nie mojej? Że ich język nie jest moim?

W takim razie niczego nie zrozumieliście. Należą do świata, jak ci z moich, którzy tworzyli, budowali, produkowali, płodzili.

Wszelka muzyka, cała sztuka niesie w sobie okrucieństwo. Nawet dla matki, która pogrąża się w falach, podając swoje dziecko ręką, które je uratują. To, co ludzkie, zawsze ratuje to, co ludzkie. Oto, co mi mówią ci artyści, którzy przez cały ten czas zachowali mnie przy życiu.

Oto, co zrozumieliśmy obok tych, na których położyło swój palec przeznaczenie. Godząc się na śmierć, powiedzieli, patrząc nam w oczy: jesteś moją nadzieją. Jesteś moją kontynuacją. Jesteś moim następnym krokiem poza otchłanią.

Zatem zrozumcie, gdy drzwi do schronu się otworzyły, a ja nie usłyszałem głosu nadziei, lecz – przeciwnie – wezwanie Dantego, spostrzegłem to, czego nikt nie widzi, gdy rozpoczynamy naszą niebezpieczną podróż. To te miejsca, tutaj, straciły wiarę.

Nie my. Nie my, których wiedzie wiara we wszystko i przeciw wszystkiemu.

Straciliście wiarę w człowieka.

To wszystko, co miałem do powiedzenia.

Przełożył z francuskiego (*La langue nécessaire*)
Krzysztof Jarosz